EPOKA

TYGODNIK

ROK II Warszawa, 12 lutego 1933 R. NR. 7 (20)

Ludzie wiary fanatycznej

Walka o sztukę

„Aniołowie" Dalekiego Wschodu

Rozwydrzona Ameryka

Nauka, teatr, literatura

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: WAŚNIEWSKI. CHWISTEK. CENTNERSZWEROWA. WASOWSKI. ROGOWICZ. DERENICZ. KORNACKI. BURDECKI.

R Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

BUDŻET LITERATURY

Juljusz Kaden - Bandrowski pisze w „Gazecie Polskiej":

„W budżecie tegorocznym wypada na literaturę 85.000 złotych. Nie wiem, jak Naczelnik tego resortu w M. W. R. i O. P. da sobie radę z tym budżetem. Normalny skromny, bardzo skromny budżet tego działu powinienby wynosić wedle mego przekonania conajmniej pół miljona złotych. Byłby to również budżet niewielki, bardzo skromny, możnaby już jednak w jego zakresie myśleć o celowej pracy.

Oto pozycje tego budżetu: akademja literatury (bez pensyj, druki, prace, lokal i t. p.). 100 tys. zł. państwowy instytut wydawniczy 50.000 zł.; emerytury (wdowy, sieroty po pisarzach, pozostające w skrajnej nędzy) 60.000 zł.; pisma literackie (nie posiadamy ich już prawie wcale) 120.000 zł.; stypendja krajowe (dla 30 osób, po 300 złotych miesięcznie na rok, liczba 30 adeptów jest przecież minimalna) 108,000 zł.; stypendja zagraniczne (dla 10 osób, po 500 zł. miesięcznie na rok) 60.000 zł.; nagrody państwowe (dawna wielka nagroda, mniejsze regjonalne, literatura dla młodzieży, popularna i t. p.), 30.000 zł., razem 528.000 złotych.

Budżet ten nie uwzględnia wcale ustawy bibljotecznej i obraca się w zakresie skromnych wydatków, lecz takich, które pozwoliłyby całemu pokoleniu pisarzy walczących ze skrajnemi brakami, pracujących raczej na marginesie zajęć zarobkowych, pomyśleć poważnie i poważnie przygotować się do wielkiego zawodu pisarskiego. Budżet powyżej nakreślony dla literatury w porównaniu z sumą obecnie przyznaną t. j. 85.000 złotych rzuca może właściwe światło na twarde ograniczenia, w jakich muszą się mieścić dzisiaj sprawy literatury i sztuki."

OŚWIADCZENIE INŻYNIERÓW POLSKICH

Zarządy podpisanych Stowarzyszeń inżynierów polskich, obejmujących wszystkich zrzeszonych inżynierów Polaków, pracujących na Śląsku, składają niniejsze oświadczenie:

Pan Minister Przemysłu i Handlu w Komisji Sejmowej z żywem oburzeniem wspomniał o zarzucie, dotykającym polskiego inżyniera ze strony pewnego grona osób, które na wysokich stanowiskach przemysłu śląskiego powinny brać żywy udział w jego kierownictwie. Zarzut ten wyraża się w poglądzie, jakoby polski inżynier nie był dostatecznie przygotowany do kierowania losami przemysłu polskiego. Zarządy stowarzyszeń inżynierskich wdzięczne są Panu Ministrowi Przemysłu i Handlu za jego gorący protest w obronie inżyniera polskiego i oświadczają, że zawsze może liczyć na ich oddaną i głęboko fachową pracę. Zwątpienia mogą ogarniać tylko ludzi, którzy nie chcą się zaznajomić z ogromem wykonanej już pracy inżynierów polskich na Górnym Śląsku, względnie wysłuchują jednostronnych oświetleń strony niemieckiej, nie chcącej za żadną cenę dopuszczać inżynierów polskich do kierowniczych stanowisk. Krótkie to oświadczenie nie pozwala w swych ramach złożyć dowodów rezultatów pracy naszej, jednak faktem pozostaje, że wszędzie tam, gdzie faktyczne kierownictwo objęli inżynierowie Polacy, przedsiębiorstwa zostały postawione wysoko pod względem technicznym, przy jednoczesnem zwiększeniu bezpieczeństwa pracy i zmniejszeniu kosztów produkcji i niejednokrotnie zostały uratowane od zagłady, do której je doprowadzała gospodarka poprzedników. Praca inżyniera polskiego zmusiła nawet przeciwników do jej uszanowania. Spokojni o szczere wysiłki swych członków na wszelkich stanowiskach dla dobra sprawy polskiej i przemysłu górnośląskiego oświadczamy, że mimo zwątpień ludzi nieświadomych lub małego ducha, gotowi do poświęceń, uzbrojeni w dostateczną wiedzę z korzyścią dla kraju potrafimy kierować przemysłem górnośląskim.

Polskie Stow. Inż. i Techn. Woj. Śl.
Stow. Polskich Inż. Górniczych i Hutn. Koło Śląskie.
Stowarzyszenie Hutników Polskich.
Związek Inżynierów Chemików. Okręg Śląski.
Zawodowy Związek Polskich Inżynierów i Techników Woj. Śl.
Związek Polskich Inżynierów Kolejow. Koło Katowickie.

ROSJA ZACISKA PASA

Oto kilka danych oficjalnych z dziedziny ostatniej „czystki", której prasa zachodnio-europejska usiłuje nadać charakter polityczny, mimo, iż „czystka" ma wszelkie cechy najzwyklejszej redukcji pracowników, powstałej wskutek trudności natury gospodarczej.

Tak więc personel Grażdawiostroju zredukowano ostatnio o 31%, Grażdawiopromu o 54%, Snabaerflotu o 40%. „Ogiz", czyli państwowa instytucja wydawnictwa czasopism zredukowała swych moskiewskich pracowników z 6137 do 4884 osób, natomiast Kogiz (państwowe zakłady wydawnicze książek) zmniejszył w ciągu roku swój personel o 1094 osób. Procentowo podobnie przedstawiają się redukcje w „Uczpedgiz'ie" (wydawnictwa naukowo-pedag.), „Selkozgiz'ie" (wydawnictwa z dziedziny gosp. rolnej) i „Medgiz'ie" (wydawnictwa medyczne).

Jeśli w wielu sowieckich instytucjach państwowych redukcje noszą charakter oszczędnościowy, to jednak posmak „politycznych" przyczyn kryje niewątpliwie zmniejszenie pracowników zatrudnionych przy Radzie Komisarzy Ludowych ze 128 na 119, oraz zmniejszenie liczby pracowników „Stałych Komitetów i Komisyj przy Radzie Komisarzy" z 262 na 231.

Nadmienić należy, iż „Izwiestija" zapowiedziały nową falę redukcyj, mającą objąć wszystkie placówki państwowe na terenie całego Z.S.S.R.

PASZPORTY SOWIECKIE

Na podstawie dekretów Stalina wprowadzone będą na całym terenie Z.S.S.R. przymusowe dowody osobiste, a nieposiadanie takowych karane będzie więzieniem, podobnie jak i niezameldowanie się w 24 godziny po zmianie miejsca zamieszkania. Paszport sowiecki, jednakowy dla wszystkich mieszkańców, kosztować będzie, wraz z tymczasową, trzymiesięczną przepustką cztery ruble.

W związku z przymusowem „wykupem" paszportów, prasa sowiecka nadmienia, iż rząd pragnie

rzeczywiście spełniony. Krótko powiedziawszy, wśród młodego pokolenia artystów narodził się duch bohaterstwa.

Pisząc w grudniu 1931 w „Drodze" o przyszłości kultury duchowej w Polsce, wyraziłem nadzieję, że dzięki bohaterstwu młodego pokolenia przeżyjemy niebawem wielkie odrodzenie naszego życia duchowego. Wielu z moich przyjaciół uważało nadzieję tę za objaw niewczesnego optymizmu. Jedni zwracali uwagę na to, że bohaterstwo bez talentu nie na wiele się przyda, drudzy wyrażali wątpliwość, czy młode pokolenie potrafi zdobyć się na gest bohaterski. Zarówno jedna, jak i druga wątpliwość nie budziła we mnie obawy. Jestem głęboko przekonany, że talentów było u nas zawsze pod dostatkiem, a gestu bohaterskiego było aż nazbyt wiele. Brak tylko było wiary we własne siły, brak tylko było krytycyzmu nieodzownego do przezwyciężenia hamujących twórczość przesądów, a wreszcie było zawsze za wiele sceptyków, którzy tak właśnie postępowali, jak gdyby zależało im na tem, żeby w Polsce nie powstało nic nowego i żeby spokój, płynący z pogodzenia się z tem, co było dawniej, nie został niczem zamącony.

II.

Nastały inne czasy. Z chwilą, kiedy tęsknota za radykalną reformą społeczną ogarnęła olbrzymią większość ludności, kiedy dzień każdy przynosi nowe warunki życia i otwiera nowe niepokojące w najwyższym stopniu perspektywy, radykalizm artystyczny nikogo przerażać nie może, a dawne gromy, rzucane na futurystów, wzbudzić mogą jedynie uśmiech politowania. Jakżeż krotochwilnem wydać się musi zdanie jednego z architektów zakopiańskich, który swojego czasu powiedział o Zbigniewie Pronaszce, że człowiek, który tak, jak on, ośmielił się wymalować Madonnę, jest napewno zdolny do popełnienia morderstwa. A trzeba wiedzieć, że Madonna Pronaszki nie różniła się zasadniczo od typu bizantyńskiego, z którym wszyscy pogodzili się od dawna. Nawet naganka na „nuż w bżuhu", który zaiste był nieprzyzwoity i brutalny, przedstawia się nam dzisiaj dość humorystycznie, a wielu z jej uczestników mówi dziś o tych sprawach z wyrozumiałym uśmiechem.

Czasy zmieniają się dziś znacznie szybciej, niż to dawniej bywało, a my zmieniamy się wraz z niemi tak szybko, że nieraz wstydzić się musimy twierdzeń, które z najgłębszem przekonaniem wygłaszaliśmy przed rokiem. Ci, którzy tęsknem spojrzeniem zwracają się do czasów przedwojennych, kiedy to pisało się o apriorycznych podstawach prawa obywatelskiego i o kategorycznym imperatywie naturalizmu, nie baczą na to, że w tym zakresie pojęć niema miejsca ani na polskie morze, ani na polską kulturę i sztukę. Nie baczą na to, że jeśli mamy znaleźć dla siebie miejsce pod słońcem, musimy za wszelką cenę wziąć udział bardzo żywy w wielkim przewrocie, jaki dokonuje się w świecie, bo tylko pod tym warunkiem będziemy mogli znaleźć miejsce dla tych niezużytych możliwości, które drzemią na dnie duszy naszego ludu. I właśnie dlatego powinniśmy skończyć radykalnie ze starczą tendencją do likwidowania pośpiesznego wszystkich odruchów twórczych, rodzących się na naszej ziemi. Powinniśmy skończyć z kończeniem ludzi, którzy nam się nie podobają. Powinniśmy natomiast wytężyć wszystkie siły, żeby przesądy, hamujące rozwój naszej kultury i sztuki przełamać radykalnie. O przesądach tych pisałem już na innem miejscu, pragnę jednak raz jeszcze zająć się niemi bardziej systematycznie, ażeby stępić ich ostrze do reszty.

Przesądy te można podzielić na dwie zasadnicze kategorje. Pierwsza obejmuje zagadnienie stosunku sztuki do społeczeństwa, druga sięga w granice filozofji sztuki. Zarówno jedna, jak i druga działa w najwyższym stopniu hamująco.

Ad. 1. Ten sam przewrót społeczny, który wyzwala nas z pod pręgierza narzuconych nawyknień, może zbyt łatwo pochłonąć naszą uwagę całkowicie, odsuwając sprawy kultury duchowej, a w szczególności sprawy sztuki na plan bardzo daleki. Zwróćmy się do następującego przykładu. Nasi młodzi lirycy zajmują się prawie wyłącznie swojemi przeżyciami, posuwając ich analizę niezmiernie daleko i zapuszczając się w niezrozumiałe dla ogółu subtelności.

Jakiś radykalny społecznik mógłby powiedzieć, że na takie sprawy dziś niema czasu, że dopóki jest tylu, a tylu bezrobotnych, dopóki państwa fabrykują na wyścigi materjały wybuchowe i gazy trujące, nie pora zastanawiać się nad temi sprawami.

A jednak, powiedzenie takie jest typowym przesądem. Na dokonanie tego, co nas zajmuje naprawdę, jest zawsze pora.

Nie co innego, jak zmuszanie ludzi do zajmowania się nie tem, co ich zajmuje, ale tem, co uważa za potrzebne dla ludzkości Schneider i Creuzot lub Ford, jest przyczyną bezrobocia.

Nie co innego jest źródłem zaborczości narodów, jak fałszywy głód pieniędzy, zrodzony ze zbyt powierzchownego pojmowania swojego własnego życia. Gdyby wszyscy ludzie decydujący o sprawach publicznych mieli psychologję naszych młodych poetów, to napewno nie byłoby bezrobocia i wojen.

Nie jest prawdą, że zajmowanie się własnem życiem wewnętrznem jest zgubnym nałogiem kasty uprzywilejowanej. Wystarczy obserwować napisy i rysunki umieszczane w miejscach publicznych, rozmawiać z żebrakami, przekupkami, handełesami, żeby się o tem przekonać. Życie tych ludzi pełne jest bujnej, nieraz przepojonej perwersją namiętności. W wielu wypadkach bucha z niego marzenie i wizja.

Zawsze prawie łączy się z tem wszystkiem bystrość obserwacji i daleko posunięty krytycyzm. Odkrycie tego niezmiernie zajmującego świata jest zasługą powieściopisarzy i poetów. Ich zasługą jest obalenie przesądu o niższości umysłowej proletarjusza w stosunku do patentowanego inteligenta. Oni, a nie kto inny przyzwyczajają nas do tego oczywistego faktu, że niema t. z. jedności świadomości, ani też jakiejś oficjalnej, wspólnej dla wszystkich rzeczywistości. Są to rzeczy, do których trudno przywyknąć, jeśli się od dziecka wmawiało w samego siebie, że są synonimem niemoralności i rewolucji. Poczciwemu burżujowi przedwojennemu trzeba było koniecznie wiary, że wszystko na świecie jest uregulowane, że jego jaźń jest nietylko jednolita, ale zgoła nieśmiertelna i t. d., bo inaczej życie wydawało mu się trudne do zniesienia, a obawa przed zaziębieniem rozrastała się do rozmiarów koszmaru.

Proletarjat nie przejmował się nigdy temi sprawami, brał życie poprostu i budował nieświadomie podstawy nowej filozofji życia, tworząc zarazem niezmiernie ciekawą i naprawdę wielką sztukę. Pytanie, czy już dzisiaj filozofja nasza i sztuki dojrzała do tego, żeby można oddzielić ją od kasty zwanej inteligencją, budzić może niemałe wątpliwości. Jedno

jest pewne, że zarówno pomiędzy proletarjuszami jak i pomiędzy inteligentami, znajduje się niemało osobników tępych, z któremi niepodobna się liczyć. Natomiast szereg eksperymentów upewnił mnie, że w sferach proletarjackich nie brak jednostek reagujących bardzo szczerze, i bardzo dodatnio na sztukę modernistyczną.

Przesąd o niedostępności prawdziwej sztuki dla mas szerokich wytworzył się w okresie po renesansowym, który, jak to już dzisiaj coraz powszechniej się twierdzi, był okresem upadku. Już przed wojną wystąpił przeciw temu przesądowi Lew Tołstoj, szydząc z Wagnera i twierdząc, że sztuka prawdziwa nie może być przywilejem kasty, ale dostępną być musi dla wszystkich. Jest pewne, że sztuka Starożytnego wschodu i sztuka średniowiecza działała w równym stopniu na masy, jak na sfery rządzące. Była może obliczona na narkotyzowanie mas, na uśpienie ich czynności. Zamiar był niecny, ale nikt chyba nie przypuszcza, że dlatego, żeby zachować czujność w walce o prawa społeczne, trzeba koniecznie wyrzec się sztuki i związanego z nią marzenia i wizji. Należy raczej czuwać, żeby walka o prawa społeczne nie odebrała ludziom zdolności do narkotyzowania się sztuką, wtedy bowiem jako ostatni ratunek, pozostanie tylko wódka i kokaina.

Ad. 2. Drugi gatunek przesądów, hamujących rozwój sztuki, obejmuje liczne i zawiłe teorje metafizyczne, które mają pretensję do odkrycia istoty sztuki. Trzeba pamiętać, że teorje sztuki rozbudowane zostały nie przez artystów, ale przez zawodowych filozofów, którzy wtłaczali je w ramy niesłychanie ciemnego aparatu pojęć, odziedziczonych po czasach starożytnych, albo też ujmowali je w szablony przyrodnicze nic ze sztuką nie mające wspólnego. Podano cały szereg definicyj sztuki, począwszy od słynnej Wielości w jedności, którą według v. Steina miał wprowadzić po raz pierwszy Montesquieu, a skończywszy na Narkotyku Müllera, Freienfelsa, Lagerborga i innych. Każda z tych definicyj może przydać się człowiekowi, który już zgóry wie, co to jest sztuka, na podstawie przeżyć osobistych, ale nie mówi zgoła nic laikowi, który chciałby nauczyć się sztukę przeżywać. Co gorsza, oddala go od sztuki, wbijając mu zamiast niej w głowę klin naszpikowany frazesami. Uzbrojony w ten klin i w te frazesy zabiera się taki laik do gadania o sztuce, szerząc zamęt wśród artystów i uniemożliwiając wszelką pracę zorganizowaną i świadomą celu. Bez takiej pracy sztuka nie może wznieść się na poziom na tyle wysoki, żeby odegrać mogła tę rolę w życiu społecznem, jaka jest jej przeznaczona. Jestem pewny, że rola ta jest o wiele ważniejsza, niż to przypuszcza się naogół. Narkotyk sztuki usypiał zaiste szerokie masy starożytnego wschodu i średniowiecza, czyniąc je biernem narzędziem w rękach klasy posiadającej. Gdyby tak tylko być miało, narkotyk ten byłby zaiste szkodliwy. Ale tak być nie musi. Sztuka nie jest sprzeczna z krytycyzmem, tak jak nie jest z nim sprzeczna miłość i bohaterstwo. Żeby się o tem przekonać, wystarczy tylko trochę cierpliwości. Trzeba tylko rozpatrzeć systematycznie fakty i teorje i zestawić jedne z drugiemi. Sprawą tą radbym się zająć w artykułach następnych.

Leon Chwistek

JOHN GALSWORTHY

Wspomnienie z Jego pobytu w Warszawie

John Galsworthy nie żyje.

Mimo że telegramy od tygodnia już uprzedzały o ciężkiem zasłabnięciu wielkiego pisarza, wieść o jego zgonie wstrząsnęła do głębi każdym, kto znał go z jego dzieł. A cóż dopiero tymi, którzy mieli sposobność osobistego zetknięcia się z nim! Przed dwoma laty był Galsworthy w Warszawie na kongresie Penclub'u, jako duchowy jego przywódca, jako osobistość najbardziej górująca, skupiająca na sobie najżywsze zainteresowanie obecnych. Dość było spojrzeć na tę postać, zarazem czcigodną i dziwnie młodzieńczą pomimo srebrzącej jego włosy siwizny, na to wypukłe czoło myśliciela, a nadewszystko w te głębokie, wnikliwe, promieniujące z siebie rozum i dobroć oczy, aby odczuć odrazu, że się ma przed sobą jednostkę niepospolitą, prawdziwego wybrańca ducha.

W toku obrad zachwycał ogarnianiem wlot roztrząsanej sprawy, zjednywał sobie wszystkich jasnością sądu, trafnością ocen, bezstronnością ujmowania i rozstrzygania nastręczających się powikłań. Na bankiecie i towarzyskich zebraniach czarował prostotą, a zarazem wytwornością obejścia, olśniewał subtelnym dowcipem, niezwykłą zdolnością prowadzenia lekkiej napozór, a równocześnie pogłębionej treścią dyskusji.

Przybył na kongres z żoną, nieodłączną, jak wciąż powtarzał, swoją towarzyszką.

Rycerskość jego stosunku do niej była wręcz wzruszająca. Podkreślał ustawicznie jej rolę: źródła łask, jakie spływają nań stale z dobroczynnych jej rąk, kładł we wszystkich rozmowach nacisk na jej wpływ decydujący na jego twórczość, czemu dał zresztą wyraz w dedykacji, jaką opatrzył pierwszy tom klasycznej już dzisiaj, wyróżnionej nagrodą Nobla *„Sagi rodu Forsytów"*.

I z jednego jeszcze wpływu na swoją twórczość chętnie zwierzał się. Podczas jednej z licznych swoich podróży morskich zapoznał się z Conradem, z którym zawarta przyjaźń dozgonna zaważyła w wysokim stopniu, jak stale utrzymywał, na dalszym jego rozwoju duchowym.

Zdawało się wówczas — warszawski kongres PENclub'u odbywał się w 1930-ym — że teraz dopiero zacznie Galsworthy tworzyć nadobre, że talent jego będzie przez długie jeszcze lata krzepił wciąż i potężniał, że zdoła wzbogacić długim jeszcze szeregiem arcydzieł literaturę wszechświatową. Fatalizm losu chciał inaczej. W pełnym rozkwicie sił duchowych, w młodzieńczej, zdawało się, prężności sił fizycznych, w nieosłabłym ani na chwilę pędzie twórczym zgasł John Galsworthy, pozostawiając po sobie uczucie gorącej wdzięczności za to, co zdziałał, głębokiej czci i hołdu dla zasług pisarza i człowieka.

Twórczość jego miała nadewszystko podkład wybitnie społeczny. Epik czystej wody, widział i odtwarzał życie głównie ze strony jego zjawisk socjalnych, chwytał na gorącym uczynku samolubstwo i oschłość warstw uprzywilejowanych, wyzyskiwanie przez nie słabych i upośledzonych, obłudę fałszywych świętoszków. Jego szczery, najszlachetniej pojmowany demokratyzm wytrzymywał wszelkie próby, zdolny wznieść się ponad próżnostki, właściwe nawet ludziom wielkich zasług, ale mniejszej miary moralnej. W 1918 nie zawahał się odrzucić ofiarowa-

nego mu przez wielkobrytyjski rząd szlacheckiego tytułu sir'a, jakim pyszni się tylu najwybitniejszych angielskich pisarzy i uczonych. Szlachectwo Galsworthy'ego było innego rodzaju. Autor „Sagi" sięgał wyżej, drążył myślą głębie, tające się pod powierzchowną, pstrą powłoką drobnych ambicji.

Wszędzie i zawsze, nie licząc się z tem, czy jego rewelacje będą dogadzały snobistycznym upodobaniom jego ziomków, nieubłaganie obnażał istotę rzeczy, ujawniał starannie ukrywaną i fałszowaną prawdę. Wydziedziczeni, bezrobotni, inwalidzi, więźniowie, wszyscy niesprawiedliwie krzywdzeni, ciemiężeni i wyzyskiwani znajdowali w jego piórze, poświęcającego im najlepsze karty, obrońcę, prawdziwe piękno — najżarliwszego czciciela, szczere, głębokie uczucie — najwnikliwsze zrozumienie.

W wydanym ostatnio przed kilkoma tygodniami, w polskim przekładzie utworze Galsworthy'ego pod tytułem: „Ś w i ę t y" błysnął znów autor pełnią wielkiego talentu, poświęconego tym razem ciekawie, szeroko ujętemu zagadnieniu wiary i związanej z nią psychiki jednostki. Jest to właśnie pierwsza jego powieść psychoanalityczna, wydaje się też nader prawdopodobnem, że w tym właśnie kierunku zwróciłaby się zapoczątkowana tem dziełem jego twórczość, gdyby przedwczesna śmierć nie położyła nieubłaganie jej kresu.

R. Centnerszwerowa

O D G Ł O S Y

ODPOWIEDŹ P. KAROLOWI IRZYKOWSKIEMU

W odpowiedzi na notatkę moją p. t. „Zły wybryk" (n-r 5-ty „Epoki"), p. Karol Irzykowski wystąpił na łamach „Robotnika" z repliką, którą muszę nazwać nieelegancką, nawet nieładną, a nawet — nie owijając w bawełnę — całkiem brzydką.

P. Irzykowski pozwala sobie twierdzić, że nie czytałem jego książki o Boyu-Żeleńskim. Pisałem o tej książce, ale jej nie czytałem... Jest to najcięższy zarzut, jaki można postawić publicyście. Byłaby to nietylko — jak pisze p. Irzykowski — „niesumienność", ale poprostu — nieuczciwość. P. Irzykowski nie zastanowił się, komu tego rodzaju zarzut postawić wolno, a komu niewolno. Zasługiwałbym na najostrzejsze potępienie, gdybym w ten sposób obrażał sam zawód publicysty. Pisać o książce, której się nie czytało, to — oszukiwać swoich czytelników. Nie mam takich obyczajów. P. Irzykowski posunął się cokolwiek za daleko w swojej megalomanji. Bo tu źródło tego zarzutu: p. Irzykowski nie umiał sobie wyobrazić, żebym po przeczytaniu jego książki, mógł jej nie uznać za znakomitą i pożyteczną. Na pytanie: „Czy p. Wasowski sam, zapoznawszy się z treścią mojej książki, nie przyznałby, mimo wszystko, że szkodaby było, gdyby ona nie wyszła?" — odpowiadam: po „zapoznaniu się" z treścią książki p. Irzykowskiego, uważam tę książkę za wzorowo niepotrzebną.

Druga jeszcze insynuacja, mniej dotkliwa i bardzo śmieszna: „Teraz nasłał (Boy-Żeleński) na mnie p. Wasowskiego". Zmusza mnie p. Irzykowski do wynurzeń natury prywatnej, a to rzecz nieznośna. Boya-Żeleńskiego nie widziałem od kilku tygodni, a — po tej przerwie — rozmawiałem z nim tydzień po wyjściu „Epoki" z notatką o książce p. Irzykowskiego. Poświęciliśmy tej sprawie minutę rozmowy, w której dowiedziałem się, że Boy-Żeleński książki p. Irzykowskiego nie czytał. Ma bardzo dużo poważnej pracy. Gdybym się nawet nadawał do „nasyłania" mnie na kogokolwiek, to w tym wypadku byłoby to niemożliwe, bo Boy nie „zapoznał się" z treścią książki p. Irzykowskiego.

Byłoby bądź co bądź przyjemniej, gdyby p. Irzykowski prowadził swoją samoobronę na innym poziomie.

J. W.

MIĘDZY OBYWATELEM I PREZYDENTEM

Niedawno p. minister sprawiedliwości oświadczył w Sejmie, że były wypadki, gdy wbrew zdaniu sądu, który wydawał opinję, iż skazany na śmierć zasługuje na ułaskawienie, doradzał p. Prezydentowi Rzplitej z prawa łaski nie korzystać.

W sprawie tej zamieszcza „Robotnik" godne uwagi wywody p. Józefa Litauera. P. Litauer stwierdza, że postępowanie p. ministra sprawiedliwości jest w zgodzie z przepisami procedury karnej, ale nie jest w zgodzie „z istotą prawa łaski", a to ze względów następujących:

„Władze administracyjne w zasadzie nie sądzą obywateli. Czynią to sądy. Władze administracyjne wytaczają i popierają oskarżenie. Władze ustawodawcze wydają prawa. Prezydent, jako czynnik nadrzędny, korzystając z prawa łagodzenia wyroków sądowych, upodabnia się niejako do panujących ukoronowanych, którzy historycznie z prawa tego korzystali, tem samem zyskują ich glorję i potęgę. Prawo łaski w znacznym stopniu powiększa autorytet Prezydenta w oczach obywateli. Władza jego staje się równą władzy tych, którzy ją od Boga dzierżyli i którzy za Boga skazanym na śmierć życie darowali. Lecz z prawa łaski Prezydent winien korzystać sam. Między jego mocą i potęgą a skazanym nikt stanąć nie może. Prezydent, który nie ma możności sam umieć i widzieć wszystko, może dobrać sobie doradców, ale w tym wypadku nie może nim być Minister Sprawiedliwości, który będąc wszak naczelnym prokuratorem w państwie, właśnie jest tą władzą, której w wykonaniu surowych praw zależeć może na doprowadzeniu oskarżonego pod szubienicę. Przecież nie może być doradcą bezstronnym Prezydenta z samego prawa strony oskarżyciel publiczny — minister sprawiedliwości.

Z tego też powodu przepisy obowiązującej procedury są konstytucyjnie wadliwe, bowiem opinje o prawie do łaski w poszczególnych wypadkach winni tylko wydawać kompetentni urzędnicy kancelarji cywilnej Prezydenta — zależni tylko od niego i odpowiedzialni tylko przed nim."

TO CO NAJWAŻNIEJSZE

Katolicka Agencja Prasowa, podając nowy skład Zarządu Federacji Spełnienia Votum Narodowego — tak szumnie nazywa się organizacja, mająca na celu wzniesienie w Warszawie kościoła Opatrzności — przypomina, że ma to być spełnieniem ślubu narodowego, „który naród polski złożył Bogu w wiekopomnych dniach Sejmu Czteroletniego", i gorąco nawołuje do pobudzenia społeczeństwa do wysiłków w tym kierunku.

Że takie „ponaglenie", mówiąc pięknym urzędowym stylem polskim, kapie z K.A.P. — to całkiem naturalne, ale myślącemu obywatelowi nasuwa się

pytanie, czy pora na realizację tego votum z przed półtora wieku jest właściwa, czy nie nastąpiło tu już przedawnienie i czy *niema dziś w Polsce pilniejszych potrzeb społecznych!* Śród członków zarządu jest dwóch prawników i dwóch teologów, którzy przy pewnym wysiłku dobrej woli mogliby może wspólnie wykombinować dla szarpiącego się w kleszczach kryzysu narodu, jeśli już nie *przedawnienie*, to bodaj *moratorjum* na przyzwoity okres czasu — póki się nie odgryziemy. Jest śród tych bogobojnych obywateli również burmistrz stoł. m. Warszawy, p. Słomiński (przepraszam, że nie mówię „prezydent", ale skoro Rzym, Berlin, Chicago i t. d. kontentują się burmistrzem — możeby skończyć, wreszcie z tym paradnym i przesadnym tytułem nadwiślańskim). Otóż, czy p. burmistrz Słomiński, jako gospodarz stolicy Polski, może z czystem sumieniem odpowiedzieć twierdząco na drugie pytanie: czy ofiarność społeczną należy kierować dzisiaj ku wzniesieniu w Warszawie nowego, monumentalnego, a więc kosztownego kościoła?

K. A. P., chcąc dziennikarskim reweransem połechtać ambicję patronów Federacji Votum, zapewnia w zakończeniu swej notatki, iż „nowy zarząd niewątpliwie podejmie cały szereg inicjatyw" i wysiłków w celu jaknajszybszego zrealizowania wielkiego zobowiązania narodu".

Czy się nie łudzi?...

Czy śród 15 członków zarządu nie znajdzie się katolik o szerszym horyzoncie myślowym i uczuciach humanitarnych, który będzie miał dość odwagi cywilnej i wpływu, by przełożyć panom i hrabinom z zarządu, iż w obecnej dobie *wielkiem zobowiązaniem narodu* jest przedewszystkiem ulżyć doli swych bezrobotnych, bezdomnych i głodnych, w zakresie ich *pierwszych potrzeb doczesnych*, że to nietylko będzie bardziej po ludzku i po chrześcijańsku, ale i... roztropniej?...

Wacław Rogowicz

„ANIOŁOWIE" DALEKIEGO WSCHODU

Kiedy w pierwszej fazie konfliktu chińsko-japońskiego o Mandżurję z okrętów japońskich zaczęły padać pociski na Szanghaj, rząd japoński obwieścił światu, że szrapnele japońskie niosą Chińczykom nie śmierć, lecz pokój. „Pragniemy przyczynić się do utrwalenia pokoju i dobrobytu na Dalekim Wschodzie... pragniemy wyprowadzić Chiny z chaosu, który je gubi... pragniemy przeciwdziałać wojnom domowym, któremi od tylu lat naród chiński krwawi..." — tak tłomaczyli Japończycy swoje wojenne poczynania.

A jak wygląda prawda?

Wystarczy przypomnieć tu, jak japońscy „aniołowie pokoju" poczynali sobie w anektowanej przez nich Korei, by znaleźć na to odpowiedź.

Gdy w roku 1919, w czasie obrad Pokojowej Konferencji w Wersalu, Koreańczycy manifestują na rzecz wolnej Korei, manifestują spokojnie, wznosząc jedynie okrzyk: „Niech żyje niepodległa Korea!", Japończycy w odpowiedzi na to przypominają „buntowniczym" Koreańczykom ostrza japońskich bagnetów i szabel. W niespełna trzy tygodnie zabito i zraniono około 100.000 Koreańczyków, wtrącono do więzień 32 tysiące mężczyzn i kobiet, starców i dzieci. Podczas jednej tylko demonstracji w Seulu zabito przeszło 1000 bezbronnych osób. Bito, wleczono po ulicach, rozstrzeliwano, nasadzano na bagnety. Z kobiet ściągano suknie i wleczono nagie po ulicach! W wioskach okrążano zwartym kordonem wojsk kilkadziesiąt domów, by nikt nie mógł się wydostać nazewnątrz, poczem podpalano je, paląc żywcem ich mieszkańców...

Wiemy dziś wszyscy, czego pragną Japończycy na Dalekim Wschodzie; chcą wywalczyć sobie tereny, które odciążyłyby przeludnioną Japonję i które byłyby jednocześnie źródłem surowców, których brak w Japonji, z drugiej zaś strony chcą zapewnić sobie wielki rynek chiński, stanowiący dla nich główną podstawą ich ekonomicznej egzystencji.

Dwie wielkie wojny, jakie mała Japonja zwycięsko prowadziła przeciwko dwóm największym kolosom świata, w r. 1895 przeciwko Chinom i w r. 1905 przeciwko Rosji, — te dwie wojny były jakby wstępem do wojny, prowadzonej obecnie. Tamte wojny dały jej Koreę i część Mandżurji, dziś pragnie Japonja więcej: chce całej Mandżurji, chce całkowitej swobody w kolonizacji i eksploatacji tego kraju. Pod pozorem odwetu za zabójstwo oficera japońskiego przez Chińczyków, — rozpoczęła Japonja pochód wgłąb kraju. W odpowiedzi na to Chińczycy dobyli broni, silniejszej od bagnetów i dział, tanków i samolotów: rozpoczęli, jak jeden mąż, bojkot towarów japońskich. 400 miljonów ludzi przestało kupować towary pochodzenia japońskiego. W ciągu jednego roku (od sierpnia 1931 do sierpnia 1932) eksport japoński na rynek chiński spadł przeszło o 80.000.000 dolarów, co stanowi prawie połowę obrotu za ten sam okres poprzedniego roku.

Japończycy chcą siłą zmusić Chińczyków, by kupowali ich towary: dlatego ruszyli pod Szanghaj, dlatego wyparli Chińczyków z Mandżurji i dlatego dzisiaj posuwają się wgłąb ziemi chińskiej. Trudno przewidzieć, jak długo i w jakim stopniu słabe militarnie Chiny potrafią się opierać jednej z największych potęg militarnych świata, jaką jest Japonja, a także trudno jest wróżyć, czy wspólny front wojskowy, jakim Chiny odpowiedziały na pierwszy atak japoński najeźdźców, znów da się stworzyć. Albowiem wielu jest bogów w Chinach, ale największym jest: Pieniądz. Kto więc wie, co zdziałać jeszcze może w Chinach pieniądz japoński, amerykański, sowiecki, czy z innej mennicy pochodzący. Gdy jednak armja chińska złoży broń, gdy rząd chiński skapituluje, nie skapituluje naród chiński, którego poczucie jedności coraz bardziej wzrasta. Nie pomogą rozkazy rządowe: bojkot towarów japońskich będzie tak długo trwał, dopóki rząd japoński nie odstąpi od tych żądań, które godzą w honor wielkiej nacji chińskiej.

Zmęczone ciągłemi walkami domowemi, nawiedzane klęskami żywiołowemi, pragną Chiny pokoju bardziej, niż inne narody świata. Ale ani ponowna inwazja japońska w dolinie Jangtsekiang'u, ani pochód na Tientsin i Pekin, czem grożą dzisiaj Japończycy, nie położą kresu bojkotowi: przeciwko zbrojnemu podbojowi Chińczycy będą tak długo prowadzili walkę ekonomiczną, dopóki ostatni żołnierz japoński nie zniknie z ziemi chińskiej.

Michał Derenicz

TEATR

»MOST« JERZEGO SZANIAWSKIEGO W TEATRZE NARODOWYM

Niedomówienia, aluzje, symbole, alegorje... Szepty, pauzy, nastroje... Wzloty i wzlociki. Cienie idei.

Słowem — Szaniawski.

Po przedstawieniu — rozmowy, pytania, wątpliwości: co chciał powiedzieć? że człowiek, że kobieta, że społeczeństwo... Tak, ale przecież... Nie, nie to... Właściwie chodziło mu o to, że... Chociaż z drugiej strony...

I tak bez końca. I bez wniosku.

Na jedno tylko zgoda: świetna robota teatralna, sceny niektóre o wysokiem napięciu dramatycznem, pointy wyśmienite, role do grania i do wygrania — jak to się mówi w teatrze „samograjki".

Sztuki Szaniawskiego — to inteligentna żonglerka symbolami. I zręczna: tam, gdzie spodziewamy się jakiejś wyraźnej idei, otrzymujemy ...pauzę, ciszę, wielokropek. Jasną myśl, o którą mu trudno, zastępuje wdziękiem niedomówienia, które, zwłaszcza kobietom, wydają się czemś niewymownie głębokiem.

— Dlaczego pani tę sztukę uważa za głęboką?

— Ach, proszę pana, te rzeczy nie dają się jasno wypowiedzieć. Ale na jego sztukach czuje się, że coś... że życie nasze... no, wie pan, jakiś niepokój, tęsknota, poezja... W każdym człowieku to tkwi. Sztuki Szaniawskiego są czarujące.

To, co niewyraźne i mgliste, wydaje się pewnej części widowni — mądrości pełne. Jest to sukces mistyfikacji. U Szaniawskiego — prawdziwie kunsztownej.

Idea „Mostu"? Można pod tekst tej sztuki „podłożyć" różne problematy: prawo a sumienie, obowiązek a serce, życie jednostki a postęp ludzkości, starzy i młodzi, miłość i sława, cywilizacja techniczna a konserwatyzm, inteligencja i lud, miasto i wieś — wszystko potroszę, a wszystko — w lekkich dotnięciach mimochodem, kokieteryjnie, od niechcenia, a od czasu do czasu „ze łzą w oku" lub z „głębszem spojrzeniem". „Wnikliwy" szept. Gra z surdynką. Pot-pourri z motywów Ibsena, Maeterlincka, Przybyszewskiego, Jewreinowa oraz z dodatkiem paru melodji własnych.

Owszem, ładne to, barwne, przyjemne.

Lecz co do owej „głębi"... Kto traktuje serjo problematy, które dalekiem echem odzywają się w sztukach Szaniawskiego, kto tym sprawom poświęcił więcej uwagi, niż efektom teatralnym, ten u Szaniawskiego znajdzie tylko to... dalekie echo. Nie może tedy doznawać emocji takich, jakie Szaniawski budzi wśród widzów o myśli powierzchownej i skali uczuć nienajwiększej. Ci tu dopiero, w aforyzmach, powiedzonkach i obrazkach Szaniawskiego znajdują powód do „zadumy". Dobre i to.

Wydaje się przecież, że twórczość Szaniawskiego — to jeden z ostatnich rozdziałów teatru wczorajszego, schyłkowego, który żegna się z nową rzeczywistością miłym, dyskretnym, kulturalnym uśmiechem. Jeszcze parę westchnień, parę słów ostatnich, parę gestów melancholijnych i — maskarada skończona. Już bardzo późno. Świta. Robi się dzień. Nowy dzień.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

»SEKRET KOBIETY«

Dobrze się stało, że Irena Krzywicka niejako uwieczniła swe „reportaże z kobiety" w osobnym tomie*), gdyż myśli zawarte w większości tych dawnych artykułów długo jeszcze będą pożyteczne dla niejednego czytelnika, a dla wszystkich fascynujące, — ulga to prawdziwa mieć pod ręką i móc każdej chwili odwiedzić radosne, powiem nawet wesołe w swej odwadze, myśli, wypowiedziane jasno, prosto, wzorowo. Taka „Śmierć Lowelasa", mimo całej powagi zagadnień, nie ciąży, nie nuży, gdyż opowiedziana jest jakowymś tanecznym szykiem zdań. Można, z męskiego stanowiska patrząc, niezupełnie i nie wszędzie zgadzać się z autorką „Sekretu kobiety", „Nieporozumienia i złej woli" i t. p. często jednakże składa czytelnik broń wobec ujmującej, sugestywnej, zaborczej prozy Krzywickiej.

Mimo całej inteligencji i słuszności w ujmowaniu poruszonych zagadnień, jest coś dziecięcego w rozbrajającej naiwności, z jaką autorka rozprawia się z przeszkodami rzeczywistości dzisiejszej. To też chce się przez śmiech i przez łzy krzyknąć autorce „Miłości w więzieniu", troszczącej się o życie erotyczne więźniów: kobieto, policz pierwej szubienice w Polsce!

Są to jednak nieliczne momenty, które ostatecznie nie osłabiają bynajmniej przeświadczenia, że mocne, odważne rzeczy Krzywickiej odgrywają i nadal odgrywać będą doniosłą rolę w kształtowaniu się zarówno jutrzejszej opinji publicznej, jak i jutrzejszych obyczajów. Ma już dzisiaj Krzywicka swe zaszczytne miejsce w rzędzie bojowniczek naszej lepszej przyszłości, naszej moralności społecznej, naszego sumienia, — świadczy o tem chociażby oddźwięk, jaki znajdują wystąpienia Krzywickiej w kotle reakcji, ziejącym nienawiścią, reagującym ciemnym dymem napaści na wszystko, co świeci i grzeje płomieniem „moralności świeckiej". Dla olbrzymiej większości polskich czytelników oczerniona, zamglona, osłonięta jest Krzywicka tym dymem i albo wcale jej nie widać, lub też, jak djablica „piekielnego postępu" kusi z wyżyn „Wiadomości Literackich" wszystkie „maluczkie i ubogie w Panu" barany i owce. Z czasem opadnie ten dym, taksamo jak opadł z tylu już wybitnych „postępowców" polskich, o których uczy się dzisiaj małe dzieci w szkołach.

Niby w zielniku, spotkały się w ostatnim tomie Krzywickiej takie kwiaty psyche kobiecej, jak Charlotte Brontë, jej siostry, Florencja Nightingale, Zofja Tołstojowa, Zapolska i t. d., wreszcie jeden autentyczny narcyz rodzaju żeńskiego — Żmichowska. Czyż trzeba zaznaczać, iż „zielnik" ten, sporządzony został magicznym sposobem, i że zawarte w nim kwiaty zachwycają zapachem i barwą?

Jeśli się pragnie otrzymać jeszcze w przyszłości z rąk Krzywickiej więcej syntetycznego materjału, ma się również życzenie serdeczne, by częściej, jaknajczęściej ukazywała autorka reflektorem swego talentu postacie kobiet wybitnych.

Jerzy Kornacki

*) Irena Krzywicka: „Sekret kobiety". Warszawa 1933. Tow. Wydawn. „Rój".

WŁÓCZĘGOSTWO W AMERYCE

Mnożą się z miesiąca na miesiąc materjały statystyczne dotyczące włóczęgostwa w Stanach Zjednoczonych. Obliczono, iż ostatniej jesieni przeszło przez Kansas-City około 25 tysięcy rodzin, dążących z zachodu i z północy na zimowe leże do południowych stanów. Wędrówka taka zaczyna się częstokroć z błahego powodu, — z niezapłacenia komornego przez miesiąc lub dwa, z puszczenia paru weksli do protestu, lub z utraty zajęcia przed tygodniem. Ojciec rodziny pakuje żonę i dzieci do auta, spienięża na grosze graty domowe — i w drogę!... Po pięciuset kilometrach, kiedy już brak w zbiorniku benzyny, a w kieszeni — pieniędzy, zostawia się auto na drodze i już na piechotę idzie się dalej. Socjologowie amerykańscy widzą w tem zjawisku niezwykłem a groźnem „wpływ krwi", czyli dziedzictwo pędu włóczęgostwa przodków — immigrantów, lubiących zmieniać miejsce pobytu w ciągłej drodze na wschód, północ i południe. Powołują się przytem socjolodzy na znamienny fakt, iż wielu dziadów, lub ojców dzisiejszych rodzin wędrujących, zmieniało miejsce „stałego pobytu" 10, 20, 50 razy w ciągu życia, zostawiając albo szmat lasu wykarczowany, albo wybudowany dom, lub wreszcie jakoweś bezprawie — gwałt, czy zbrodnię. Pęd włóczęgostwa, przybierający dzisiaj katastrofalne rozmiary, drzemał w krwi ludzkiej w okresie Prosperity, kiedy się dobrobyt zbierało na ulicy i poprostu niewarto było przenosić się gdzieindziej. Obecnie jednak niepowodzenia życiowe sprzyjają naturalnemu „głosowi krwi", który przypomina przygody ojców i zmusza do naśladowania ich.

***

Nie należy utożsamiać z wędrującemi rodzinami owych zazwyczaj samotnych podróżnych, w wieku 12 — 22 lata, obojga płci, którzy przeciętnie w liczbie *siedmiuset dziennie* przemykają się przez Kansas-City, ważny ośrodek komunikacyjny, węzeł centralny wszystkich dróg, leżących w samem sercu Stanów. Ogólna liczba tych młodocianych włóczęgów nie jest znana władzom, jednakże przyłapano dotychczas i poddano badaniu *przeszło 200.000* „dzikich dzieci" na przestrzeni wszystkich Stanów Ameryki Północnej.

Ciekawie przedstawiają się wyniki takiego badania: wśród młodych włóczęgów, jacy się dobrowolnie zgłosili do jednej z placówek „Armji Zbawienia" w Waszyngtonie, naliczono 258 osób posiadających dyplomy uniwersyteckie i 2000 dzieci należących do t. zw. wyższych klas społecznych. W Atlanta na 5438 „przyłapanych", 194 młodocianych miało już ukończone studja wyższe, a 1641 dzieciaków odbyło już naukę obowiązkową w szkołach powszechnych.

Szczególnym opiekunem tych „zwarjowanych włóczęgów", jest niedoszły prezydent U. S. A., i dawny burmistrz New-Yorku, Al Smith. Zaprojektował on całą moc „poradni", w których wybija się z „szalonych głów" szalone myśli i gdzie można od czasu do czasu znaleźć jakie zajęcie, pod warunkiem wszakże, że się go w ciągu dwóch lat nie porzuci. Z inicjatywy Smitha zrodziła się też ankieta o włóczęgach, o której tyle się dzisiaj pisze w prasie amerykańskiej. Osobistości, jakie zabrały głos w ankiecie, pesymistycznie zapatrują się na kwestję „dzikich dzieci". Tak więc John Gaston Edgar, sekretarz nowojorskiego „Boy Bureau", w którem zgłasza się dziennie po 1000 chłopców z prośbą o nocleg i jadło, stwierdza, iż „biedne małe dzieci do niczego więcej nie są zdolne, jak tylko do włóczenia się bez celu i bez sensu". Miss Gracja Abbot, kierowniczka „Biura Dziecięcego przy Departamencie Pracy" opowiada z goryczą, jak to nie udało się jej ani prośbą, ni groźbą zmusić choćby jednego dzieciaka do powrotu na „poczciwą drogę".

Dlaczego „poczciwą"? Czyżby droga młodych włóczęgów obfitowała w „niepoczciwe" zdarzenia?... Ależ tak, w tem właśnie leży cała groza sytuacji, że „biedne małe dzieci" kradną na prawo i lewo, że są rozpustne, nierzadko skłonne do „mokrych", czyli krwawych rozbojów, że mała 12 letnia dziewczynka odgryzła na środku ulicy nos policjantowi, który ją „prosił o wylegitymowanie się", — że 14 letni smyk ukradł auto gubernatorowi jednego ze stanów, — że jedna „para małżeńska" w wieku 13 i 15 lat bawiła się w Adama i Ewę na dachu pędzącego pociągu. A zresztą młodociani włóczędzy umierają przedwcześnie, mrą tysiącami wskutek nieszczęśliwych wypadków, łącznie z głodem, co przecież stanowi również wykroczenie przeciw społeczeństwu, które nigdy nie było dobrze z naturalnym przyrostem ludności.

J. K.

PROMIENIOWANIE I MATERJA

Książka dwóch polskich uczonych, d-ra Szczeniowskiego i d-ra Ziemeckiego, p.t. „Promieniowanie i materja", wydana przez Kasę Mianowskiego, zasługuje na uwagę wszystkich którzy interesują się stanem naszej wiedzy w dziedzinie poznania natury materji i promieniowania.

W dwóch tych wyrazach — „promieniowanie i materja" — mieści się cały wszechświat zdarzeń i przemian, skupiają się zarówno tajemnice mikrokosmosu atomów, jak i wszelkie sploty ewenementów makrokosmosu gwiazd.

Problem promieniowania i materji od najdawniejszych czasów niepokoił umysł ludzki. Kwestja, z czego składa się materja, jaka jest jej budowa, czem tłomaczyć różnorakie jej własności fizykalne i chemiczne znajdowała się w ognisku debat filozofów starogreckich. Wielki Demokryt, śmiejący się mędrzec z Abdery, oraz Leukippos kładą podwaliny pierwszej sumiennie pomyślanej, choć pozbawionej prawie całkowicie doświadczalnego poparcia, teorji atomowej. Materja według nich jest zbiorem niezmiennych, niepodzielnych cząsteczek, różniących się od siebie tylko własnościami geometrycznemi.

W czasach nowożytnych wznowiona została hipoteza atomistycznej struktury materji przez matematyka i astronoma francuskiego, Gassendi'ego. Jego myśli i prace kontynuował zkolei Szwajcar, Daniel Bernoulli, a Anglik Dalton zastosował tezy atomistyczne do problemów chemicznych i rozważań nad zachowaniem się gazów. Całkowicie mechaniczne ujęcie problemu cechuje te pierwotne teorje atomistyczne. Takie ujmowanie kwestji struktury materji

spowodowało w wyniku niemożliwość wyjaśnienia zagadki promieniowania. Z faktu tego zdawali sobie sprawę fizycy. Wszak nie mógł ujść ich uwadze problem tak niesłychanie doniosły i ustawicznie domagający się wyjaśnienia, problem, czem tłomaczyć, że ciała czyli przedmioty, nie połączone z nami żadnym łącznikiem potrafią za pośrednictwem wrażeń optycznych oddziaływać na nas. Zresztą dobrze znany fakt, że już na początku osiemnastego stulecia zdobyły sobie rozgłos dwie teorje fizykalne, starające się każda w swój sposób wyjaśnić istotę promieniowania, były to: teorja emisyjna Newtona oraz teorja falowa Huygensa. Wszelako ani teorja emisyjna, ani też hipoteza undulacyjna nie stały się integralną częścią jakiejś teorji atomowej — zagadnienia światła i materji dyskutowane były oddzielnie, wbrew oczywistej wewnętrznej ich łączności.

Pod koniec zeszłego stulecia przez fizyków ogólnie przyjęta została teorja undulacyjna światła, według której światło polega na falowaniu eteru wszechświatowego, przenikającego wszystkie przedmioty. Równocześnie rozszerzony zostaje zakres naszych wiadomości o falach eteru, dowiadujemy się, że prócz fal świetlnych istnieją jeszcze fale elektromagnetyczne, promienie Röntgena, fale ultrafjoletowe i inne. Sukcesy badań naukowych powodują jeszcze większe skomplikowanie zagadnienia. Bo przecież rozmaite objawy falowania eteru należy w jakibądź sposób powiązać przyczynowo z atomami materji, wyjaśnić proces powstawania fal eteru. Prosta koncepcja niepodzielnych cząsteczek - atomów nie mogła już sprostać zadaniu wytłomaczenia bogatego zespołu zjawisk falowych.

Trudności potęgował jeszcze fakt rozwinięcia się nowej dziedziny fizyki, nauki o elektryczności. I tu wyłaniały się nieoczekiwanie problemy, związane ściśle z zagadnieniami atomistycznemi. Elektryczność uważano pierwotnie za pewnego rodzaju „fluid" — pojęcie mgliste, fizykalnie właściwie zupełnie nie wyjaśnione — „przepływający" poprzez przewodniki elektryczności. W drugiej połowie zeszłego stulecia po odkryciu przez Crookes'a promieni katodowych „fluid" ten przekształcił się w potok cząstek materjalnych, tak zwanych „korpuskułów" J. J. Thomsona. A niebawem przekonano się, że w owych korpuskułach odkryto jeden z wspólnych składników wszelkiej materji, zasadniczą część atomu!

Część atomu — wyrażenie paradoksalne, dosłownie „część rzeczy niepodzielnej", zdobyło sobie obywatelstwo na terenie dyskusyj fizykalnych dzięki odkryciu przez Becquerel'a oraz małżonków Curie pierwiastków promieniotwórczych. Rozpad atomowy uranu, radu i polonu udowodnił ostatecznie, że atomy pierwiastków chemicznych nie są najmniejszemi składnikami materji, a równocześnie zmusił fizyków do łącznego potraktowania zagadnień promieniowania i materji.

Niezmiernie doniosłą, dla dalszego postępu badań fizykalnych, próbą wyjaśnienia wewnętrznej struktury „niepodzielnej" drobiny był model atomowy Niels'a Bohr'a. Według teorji Bohr'a, atom podobny jest do układu planetarnego. Elektrony, czyli owe thomsonowskie korpuskuły, krążą dookoła jądra atomowego po drogach kołowych względnie eliptycznych, przyczem tor drogi jest ściśle określony tak zwanym mechanicznym warunkiem kwantowym. Ruch ten nie wywołuje żadnego objawu promieniowania. Zdarza się jednak, że elektron przeskakuje z jednego toru „dozwolonego", to znaczy spełniającego warunek kwantowy, do drugiego takiego toru i wtedy, w chwili przeskoku, staje się źródłem fali eteru, której długość najdokładniej odpowiada straconej przez elektron wskutek zmiany toru energji.

Ujęta we wzory matematyczne teorja Bohr'a prawie natychmiast zyskała sobie ogólne uznanie wśród uczonych. Ten żywiołowy aplauz fizyków tłomaczyć należy wyjątkowem „zapotrzebowaniem" takiej właśnie teorji fizykalnej, któraby łączyła problemy atomistyki z zagadnieniami promieniowania. Jednak mimo zalet, teorja Bohr'a posiadała również swoje poważne wady, na które niebawem zaczęto zwracać uwagę. Okazało się, że model atomowy Bohr'a, można było zastosować z pełnym sukcesem właściwie tylko do atomu wodoru, atomu, którego budowa jest najprostsza i dlatego najłatwiej daje się ująć w symbolikę matematyczną. Przy próbie zastosowania teorji Bohra do atomów innych pierwiastków chemicznych nastręczały się kolosalne trudności

W tym samym czasie dokonywała się poważna reforma naszych pojęć o istocie promieniowania. Wprawdzie nie notowano zjawiska, któreby świadczyło wyraźnie przeciwko przyjętej ogólnie teorji falowej, stwierdzono jednak, że w pewnych warunkach promienie świetlne tak się zachowują, jakby składały się z drobin, ba, zdołano nawet określić masę tych atomów promieniowania, czyli jak je nazwano, fotonów. Podwójne oblicze promieniowania — falowe i korpuskularne — stało się jednem z najciekawszych zagadnień ostatnich lat badań fizyków.

Atoli najbardziej godnym zastanowienia stał się fakt, że całkiem analogiczna dwoistość odkryta została również w dziedzinie atomistyki. Historyczne już dziś doświadczenie amerykańskich fizyków Davisson'a i Germer'a z przed pięciu lat wykazało, że elektrony, napotykające na swej drodze kryształy, zachowują się zupełnie tak samo, jak promienie Roentgen'a, czyli jak fale eteru.

Niesłychanie ciekawe teorje współczesnych fizyków, laureata Nobla — de Brogliego, Schrödinger'a, Heisenberg'a, Dirac'a i innych starają się ująć olbrzymi — zdawałoby się często zaprzeczający sobie — materjał doświadczalny i obserwacyjny w ramy jednej teorji atomistycznej. Książka Szczeniowskiego i Ziemeckiego pozwala nam śledzić każde stadjum nadzwyczaj emocjonującej walki o atom, walki, jaka się odbywa na arenie mniemań i hipotez naukowych. Jedno już dziś powiedzieć można z całą pewnością: w pojmowaniu współczesnego fizyka nlema już obecnie zasadniczej różnicy między promieniowaniem a materją. Własności materjalne oraz promieniste są cechami nieodłącznemi, jakby jednej substancji, będącej podstawą wszelkiego bytu.

Dr. Feliks Burdecki

„Epoka" wyrzeka się jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich.

ZAMACH NA USTAWODAWSTWO PRACY

(Dokończenie)

Przepisy dotychczasowe pozostawiają określenie obowiązków pracownika specjalnym umowom. W ich zaś braku stosować należy zwyczaj miejscowy, a w braku zwyczaju „żądać można takich usług i takiego wynagrodzenia, jakie w danych okolicznościach przedstawiają się, jako odpowiednie". Dotyczy to pracowników umysłowych. O robotnikach prawo głosi, że „obowiązani są do należytego i sumiennego spełniania" swej pracy.

Projekt Komisji Kodyfikacyjnej mówi natomiast ogólnikowo: „pracownik powinien pełnić pracę wiernie", — używając bardzo niefortunnego wyrazu „*wiernie*", który przypomina „dobre dawne czasy" pańszczyźniane, gdy pan żądał *wierności* od swego chłopa i parobka!... Czyż nie lepiej było użyć — wzorem szwajcarskiego Code des Obligations z r. 1911 („l'employé est tenu d'exécuter *avec soin* le travail promis") — słowa „*starannie*"? „Wierność" nasuwa przypuszczenie podrzędności pracownika. Gdzież jest równość stron, zawierających umowę o pracę?

Zresztą, poza tym — jakże archaicznie brzmiącym przepisem, Projekt niewiele mówi, *o normalnych* obowiązkach pracownika, nakazując tylko pracodawcy, aby zezwolił pracownikowi, „o ile jest do tego zdolny", by naprawił uszkodzenie narzędzi, maszyn lub materjałów, które spowoduje ze swej winy.

Natomiast bardzo obszernie — i znów z wielką krzywdą dla pracownika — omawia Projekt wypadki pracy ponadobowiązkowej zwłaszcza ze względu na interes przedsiębiorstwa. Pracownik obowiązany będzie, według Projektu, do pełnienia pracy „nawet ponad umówioną miarę... jak również do pełnienia pracy innej, niż ta, do której się zobowiązał, jeżeli *z powodów nieprzewidzianych* okaże się to przejściowo potrzebne". Aby usunąć wątpliwości, co do „powodów nieprzewidzianych" Projekt Kom. Kod. głosi dalej: „w szczególności pracodawca może żądać takiej pracy nadobowiązkowej, gdy, tego wymaga *interes przedsiębiorstwa* lub ogółu". Toć przecież interes przedsiębiorstwa (na zysk obliczonego), zawsze i wszędzie, przy wszelkich okolicznościach wymaga pracy ponad miarę i pracy wydajniejszej, lepszej, wyżej kwalifikowanej, aniżeli umówiono się, za taką a taką sumę złotych! I pracodawca zawsze i wszędzie, przy wszelkich okolicznościach, uprawniony będzie do żądania — pod rygorem natychmiastowego rozwiązania stosunku służbowego — wykonywania pracy innej, niż umówiona i ponad miarę, gdyż tego wymaga „interes przedsiębiorstwa"!

Jakże odmiennie ujmują tę sprawę przepisy obowiązujące: ustawa o czasie pracy w przemyśle i handlu dopuszcza przedłużenie czasu pracy tylko w przypadkach żywiołowych wydarzeń, nieszczęśliwych wypadków, dla zapewnienia bezpieczeństwa pracujących, — i to nie dłużej, jak do 12 godzin na dobę; w przypadkach, spowodowanych koniecznościami narodowemi — z decyzji Rady Ministrów i nie dłużej, jak na 3-miesięczny okres. Jeśli zaś zachodzą okoliczności udowodnione potrzebami przedsiębiorstwa, to czas pracy może być przedłużony tylko na mocy specjalnego zezwolenia Inspektoratu Pracy, ale i w tym przypadku liczba godzin nadliczbowych nie może przekraczać dla poszczególnego pracownika 120 godz. na rok i 4 godzin na dobę.

Na osłodę gorzkiej pigułki Projekt Kom. Kod. dodaje, że „w przypadkach pełnienia pracy nadobowiązkowej należy się pracownikowi wynagrodzenie dodatkowe z uwzględnieniem szczególnych okoliczności, w których tę pracę pełnił", — a zapomina o „drobnym szczególiku", ustalającym w prawie obowiązującem minimum wynagrodzenia dodatkowego na 50% płacy normalnej. To też owe „dodatkowe wynagrodzenie", pozostawione uznaniu pracodawcy, może być minimalne.

***

Bardzo niefortunnie ujmuje Projekt i obowiązki pracodawcy. Obok nieco lirycznego przepisu, że „pracodawca powinien przyzwoicie obchodzić się z pracownikiem i szanować jego godność osobistą", znajdujemy niemniej teoretyczny nakaz, by pracodawca dokonywał wypłaty wynagrodzenia pieniężnego, gotówką". A jeśli nie? O tem projekt milczy. A szkoda, bo nietylko obecne polskie, ale nawet, carskie prawo rosyjskie ustalało odpowiedzialność pracodawcy za uskutecznianie wypłat pracownikom nie gotówką, lecz np. kuponami, towarem, obligacjami, wekslami. Nasi kodyfikatorzy nie postarali się o to, by opatrzeć przepis o gotówkowej wypłacie jakąkolwiek sankcją, i tem samem sprowadzili, ten przepis do zera.

Dalej — pracodawca, w myśl Projektu, „powinien co do pomieszczeń i narzędzi, jakich ma dostarczyć lub jakich dostarcza, poczynić *w miarę możności* odpowiednie zarządzenia, celem zabezpieczenia życia i zdrowia pracownika". Prawo obowiązujące głosi kategorycznie: „pracodawca obowiązany jest *stosować* środki, zapewniające ochronę życia i zdrowia robotników"; dodanie zaś przez kodyfikatorów słów „w miarę możności" unicestwia znaczenie całego przepisu.

W razie niemożności pełnienia przez pracownika obowiązków wskutek choroby lub powołania na ćwiczenia wojskowe, — zgodnie z obowiązującem obecnie prawem z r. 1928, — robotnik zachowuje prawo do czterotygodniowego wynagrodzenia, pracownik umysłowy — do 3- miesięcznego; w stosunku do pracowników umysłowych ustawodawstwo polskie rozszerza nawet uprawnienia: na wypadek powołania pracownika do pełnienia obowiązków sędziego przysięgłego, ławnika sądu pracy, albo też na wypadek wykluczenia go od zajęć przez władzę sanitarną dla zapobieżenia rozwleczenia choroby zaraźliwej.

Projekt Komisji Kodyfikacyjnej „demokratycznie" sprowadza wszystkich pracowników do jednego mianownika, i uprawnia pracowników do pobierania wynagrodzenia w ciągu czterech tylko tygodni w przypadkach „choroby, *nieprzewidzianej przy zawiązaniu stosunku*" (odpadają więc wszelkie przypadki choroby chronicznej, ba, nawet w niektórych wypadkach

i operacja wyrostka robaczkowego, lub ciąża! *), wskutek powołania na ćwiczenia wojskowe (a u pracowników umysłowych — oficerów rezerwy — trwają one 6 tygodni!), oraz z innych ważnych, a od pracownika niezależnych przyczyn.

I znów — aby przytępić działanie i tak już bardzo uciętych uprawnień, Projekt K. K. ogranicza swój przepis tylko do pracowników, których stosunek pracy trwał conajmniej pół roku i dla których umówiona praca stanowi *wyłączne lub główne źródło* utrzymania. Jeśli więc pracownik, — co się częstokroć zdarza, — utrzymuje się nietylko ze swej pracy, a korzysta z pomocy żony, rodziców lub dzieci, jeśli otrzymuje jakieś, najdrobniejsze nawet dochody z gospodarstwa wiejskiego (u robotników, ze wsi pochodzących, u służby domowej jest to na porządku dziennym), jeśli ma jakiś udział w handlu lub przemyśle, lub pobiera emeryturę, — odpada uprawnienie jego do 4-tygodniowego wynagrodzenia w czasie np. choroby, albowiem umówiona praca nie stanowi *wyłącznego* źródła jego utrzymania.

Pięknie i słusznie brzmi przepis Projektu, iż pracownikowi należy się wynagrodzenie również i „za pracę niespełnioną, jeżeli był gotów do jej pełnienia, a doznał przeszkody z przyczyn, dotyczących pracodawcy". Zdarzyć się bowiem może, że fabrykant nie przygotuje robotnikowi materjału do pracy, że wskutek uszkodzenia maszyny robotnik nie może pracować, że właściciel biura, lub sklepu, unikając swych wierzycieli, zamknie swe przedsiębiorstwo na pewien okres czasu, nie wypowiedziawszy posad swemu personelowi. Trudno wymagać, by pracownik ponosił w tym przypadku stratę. Panowie kodyfikatorzy uwzględnili ten przypadek. Ale opatrzyli go takiem uzupełnieniem, które stwarza sytuację wprost groteskową.

Otóż Projekt głosi dalej: „w przypadku takim można potrącić pracownikowi to, co oszczędził skutkiem niepełnienia pracy, albo co zarobił wykonywując inną pracę, oraz to, *czego umyślnie zarobić zaniechał*". Jeśli z powodu nieprzewidzianych przeszkód, *z przyczyn, dotyczących pracodawcy*, pracownik nie mógł pracować, będzie musiał wylegitymować się wobec pracodawcy: wiele na tem zaoszczędził (koszty przejazdu tramwajem, niezjedzone śniadanie?), wiele zarobił, wykonywując przypadkową inną pracę(zdarzyć się może, że zarobi przypadkiem więcej i *pracodawca jeszcze na tem zyska)*.

Wręcz już komicznie brzmi ustęp o tem, „czego pracownik umyślnie zarobić zaniechał"; skoro więc pracodawca wskaże w takim przypadku pracownikowi, że w tem, a tem przedsiębiorstwie jest tymczasowa posada do objęcia, skoro fabrykant powie swym robotnikom: u mnie chwilowo pracować nie możecie, ale jest praca przy uprzątaniu śniegu, lub budowie nowej szosy, — jeżeli wówczas pracownik nie skorzysta z tych wskazań i „umyślnie zarobić zaniecha", to mu pracodawca może równowartość tego potrącić.

Zastrzeżenie to wzorowane jest na par. 615 Niemieckiego Kodeksu Cywilnego. Ale pomijając już niezbyt zręczne tłumaczenie („umyślnie" brzmi w tekście niemieckim „böswillig" i powinno było być przetłumaczone raczej, jako „w złej woli"), czyż koniecznem było przyswajać właśnie najgorsze i najmniej logiczne przepisy niemieckiego prawodawstwa z bismarckowskiego okresu?

*) W przytoczonych wyżej motywach autorzy Projektu wymieniają wyraźnie ciążę pozamałżeńską, jako wypadek, w którym „względy humanitarne odpadają" i pracownica traci prawo do 4-tygodniowego wynagrodzenia.

**
*

Moment rozwiązania stosunku służbowego jest bodajże najtragiczniejszą chwilą dla pracownika. W dobie nadmiernej podaży rąk wymówienie pracownikowi posady jest równoznaczne ze skazaniem go na nędzę. To też większość ustawodawstw państw cywilizowanych zawarowała wypowiedzenie pracy szczególnemi rygorami. W Polsce obowiązuje dwutygodniowe wypowiedzenie stosunku służbowego robotnikowi i trzymiesięczne — pracownikowi umysłowemu.

Projekt Komisji Kodyfikacyjnej sprawę wypowiedzenia ujmuje w sposób najbardziej krzywdzący pracownika. Na wstępie przewiduje projekt, iż okres i termin wypowiedzenia mogą być oznaczone w umowie, — a że przy zawarciu indywidualnej umowy o pracę pracownik, jako strona słabsza, zgóry zgodzi się na wszelkie klauzule, zażądane przez pracodawcę, więc nie ulega wątpliwości, iż *zaakceptuje wszelki, najkrótszy nawet okres wymówienia.*

W braku umowy Projekt przewiduje terminy wypowiedzenia w zależności od terminów uskutecznianych wypłat wynagrodzenia: przy wynagrodzeniu dziennem — wypowiedzenie może nastąpić *każdego dnia na dzień następny*, przy tygodniowem — na 3 dni przed końcem tygodnia, *przy miesięcznem — na 14 dni przed końcem miesiąca*, wreszcie przy wynagrodzeniu, oznaczonem według dłuższych okresów czasu, — na 6 tygodni, przed końcem kwartału. Takie przepisy znane są nielicznym tylko prawodawstwom, bo nawet w ich ojczyźnie (wzorowane są na par. 621 i 622 Kod. Niemieckiego), zostały znacznie złagodzone.

Nie łagodzi sytuacji dalszy przepis Projektu, że jeśli pracownik pełni „usługi wyższe", to obowiązywać będzie wypowiedzenie 6-tygodniowe na koniec kwartału kalendarzowego. Jeżeli więc przyjmiemy, że owe nieokreślone „usługi wyższe" oznaczają wszelką pracę umysłową, to nawet wówczas dobrodziejstwo zastrzeżenia nie jest powszechne, bo dotyczyć będzie tylko pracowników, którzy zatrudnieni są u danego pracodawcy *conajmniej od 5-ciu lat*, i dla których stosunek pracy jest *głównem* źródłem utrzymania.

Nietrudno przeto przewidzieć, że pracodawca będzie mógł wprowadzić nawet i dla pracowników umysłowych tygodniowe terminy wypłat, albo w umowie prywatnej zastrzec sobie bardzo krótki okres wypowiedzenia, — co w braku unieważnienia niekorzystnych dla pracownika umów będzie zupełnie legalne, — aby pracownik mógł być każdej niemal chwili pozbawiony długoletniego nieraz stanowiska służbowego.

**
*

Brak w Projekcie najżywotniejszych przepisów o wypowiedzeniach pracy, które polskie ustawodawstwo już posiada: projekt milczy o zakazie wypowiedzeń kilkakrotnych, o zakazie wypowiedzenia pracy podczas urlopu lub choroby pracownika, podczas ćwiczeń wojskowych, pełnienia obowiązków sędziego przysięgłego, ławnika sądu pracy i t. p. Brak przepisów o odszkodowaniu dla rodziny pracownika w wypadku jego śmierci.

Cały zresztą Projekt, zawierający tak „kardynalne" przepisy, jak „w razie wątpliwości (?) pracow-

nik obowiązany jest pełnić pracę osobiście", lub: „umowa o pracę, zawarta na czas życia pracodawcy lub pracownika (?), powinna być pismem stwierdzona", — pomija milczeniem stosunki najbardziej żywotne i najczęściej w życiu codziennem nadarzające się. Od nowego prawa żądać winniśmy, aby szczegółowo ujęło te zjawiska dnia powszedniego, które wymagają ustawowego unormowania.

Gdzież więc są w nowem prawie pracy przepisy o czasie pracy, o urlopach, o pracy kobiet i młodocianych, o inspektoratach pracy, o umowach zbiorowych, o załatwianiu zbiorowych zatargów, o ochronie działaczów zawodowych, o regulaminach pracy?

***

Projekt Komisji Kodyfikacyjnej stanowi wielki krok wstecz. Z trudem zdobytym w niepodległej Polsce uprawnieniom pracowniczym, grozi unicestwienie. Przewidziana nowelizacja prawa pracy krzywdzi niepomiernie polski świat pracy. Obrońcy Projektu usiłowali salwować się tem, że przyszły polski Kodeks Cywilny, stanowi tylko zasady, ale że poszczególne ustawy, w rodzaju ustaw o umowę, o pracę z r. 1928, pozostaną w mocy. Otóż tak nie jest. Istnieje ogólna zasada prawna, że nowe prawo *ogólne* znosi stare prawa *szczególne*. Pozatem, jak z pobieżnego już tylko przeglądu przepisów można było się przekonać, zbyt wiele rozbieżności dzieli prawo obowiązujące od Projektu, aby jedno z drugiem dało się pogodzić.

Jesteśmy w przededniu trzeciego czytania Projektu rozdziału XIII Prawa o Zobowiązaniach w Komisji Kodyfikacyjnej. Jeśli głos świata pracy ma jeszcze znaczenie, to protesty, jakie zgłoszone zostały w Komisji Kodyfikacyjnej przez pracownicze związki i zrzeszenia, winny znaleźć swe odbicie. Projekt p. p. profesorów Tilla i Longchamps de Berier musi być całkowicie zmieniony, albo też całkowicie *skreślony*. Lepiej byłoby, by stworzono odrębny Kodeks Pracy (wzorem „konserwatywnej i burżuazyjnej Francji"), zgodnie z duchem obowiązującego prawa i wymogiem art. 102 Konstytucji.

Projekt *nie może stać się prawem* i, — mamy nadzieję, — prawem się nie stanie.

Prawnik

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nikt z tych, którzy w końcu 1932 r. układali przepowiednie na 1933 r. nie przewidział, że jednego dnia w sobotę d. 28 stycznia (a termin był niedaleki od daty, kiedy ogłaszano proroctwa) upadną dwa rządy w dwóch wielkich państwach — we Francji i w Niemczech i to rządy, mające na czele bynajmniej nie przeciętne jednostki, ale przeciwnie ludzi wybitnych, jak Paul Boncour i Schleicher.

Cały czas trwania tych gabinetów był poświęcony walce o byt w dosłownem znaczeniu. Z dnia na dzień upadek ich był oczekiwany, a jednak kryzys i tu i tam przyszedł niespodzianie.

Francja wyszła z kryzysu szybko, pozostając właściwie w tem samem położeniu wewnętrznem, w którem doszło do przesilenia. Nowy gabinet p. Daladier'a opiera się na tej samej partii radykałów-społecznych, co rząd p Paul Boncour'a i na ich porozumieniu z socjalistami. Prawdopodonie, gdyby nie równoczesność kryzysu niemieckiego i gdyby nie przyjście do władzy „gabinetu odwetu", ewolucja rządu we Francji tak, jak przewidywaliśmy, posunęłaby się bardziej na lewo. Gabinet p. Daladier'a, który miał przyjść, liczyłby w swem gronie 5-ciu socjalistów.

Przed decydującem głosowaniem, które odbyło się w nocy z d. 27 na 28 stycznia leader socjalistów p. Leon Blum skierował do prawicy znamienne słowa:

— Porozumienie kartelu lewicowego jest bliższe, niż się wielu panom wydaje.

Pomimo, że gabinet kartelu, t. j. porozumienia radykałów z socjalistami nie doszedł do skutku, to zdanie Bluma pozostaje całkowicie zgodne z prawdą. Gabinet Daladier'a nie wiele różniący się nawet personalnie od gabinetu Paul Boncour'a — jest gabinetem kartelu lewicowego, tylko bez socjalistów w rządzie.

Formalnie rzecz biorąc, socjaliści zgodzili się na udział w rządzie, postawili tylko jeden warunek, aby p. Daladier zobowiązał się do realizowania programu — minimum, uchwalonego przez kongres partji socjalistycznej w maju 1932 r. W programie tym była i nacjonalizacja kopalń i upaństwowienie kolei Do przyjęcia takiego daleko idącego zobowiązania p. Daladier nie miał odwagi. Powiedział zresztą otwarcie swoim sojusznikom z lewicy, że gdyby to zrobił, należałoby oczekiwać paniki wśród warstw posiadających.

W warunkach danych, gdy obok stanął u steru rząd Hitler—Saldte—Hugenberg nie mógł się na to p. Daladier zdecydować. Należy przypuszczać, że i ten rząd w Paryżu jest gabinetem przejściowym, który uporawszy się z budżetem, doczeka się wyjaśnienia sytuacji międzynarodowej i ustąpi miejsca kartelowi lewicy.

Gabinet taki dojrzewa we Francji. Sprawa upaństwowienia kolei, stanowiąca jeszcze wielki straszak w Paryżu, była już ubocznie przedmiotem rozważań przy planie p. Chérona. Zawierał on m. in. projekt obniżenia podatku od transportów dla ożywienia ruchu na kolejach Przeciwstawili się temu obniżeniu socjaliści, wyłączając tę sprawę z projektu.

Minister robót publicznych p. Bonnet, obecnie minister skarbu w rządzie p. Daladier'a bronił tezy rządowej, ale nie zasadniczo, tylko utylitarnie Dowodził on na zasadzie opinji ekspertów, że w razie nieobniżenia tego podatku prywatne kompanje kolejowe narażone na straty wobec konkurencji autobusowych, mogą zaskarżyć skarb i na zasadzie klauzul kontraktów dzierżawnych, gwarantujących im dochód, mogą wygrać sprawę, narażając państwo na wielkie wydatki.

Prawo własności, kontrakty etc. — oto zasady, w których imię broniono się przeciw wnioskowi socjalistów.

Gdyby więc nie doszło do obalenia gabinetu przy wniosku rządowym o podniesieniu podatków pośrednich o 5%, prawdopodobnie konflikt rozegrałby się przy sprawie kolejowej.

Obecnie gabinet Daladier'a będzie musiał tak, czy inaczej, wynaleźć kompromis z socjalistami w sprawie budżetowej. Objęcie teki min. budżetu przez generalnego sprawozdawcę p. Lamoureux, który w czasie debaty występował przez cały czas, jako stronnik takiego kompromisu, jest gwarancją, że porozumienie będzie osiągnięte.

***

Przesilenie niemieckie natomiast przeniosło życie polityczne Rzeszy na inne zupełnie tory. Postawiło je na gruncie, na którym właściwie nie może być mowy o kompromisach. Całe dawne reakcyjne Niemcy zasiadły u stołu władzy, mając przy sobie jako dekorację i narzędzie siły rozhuśtane, niezadowolone masy wyznawców Hitlera.

Prasa demokratyczna niemiecka, nazywa nowy rząd „Kabinett der Osthilfe", czyniąc wymowną aluzję do tego, że szybki wybuch i wynik przesilenia został spowodowany w dużym stopniu, przez niebywałe rewelacje o funduszu „Osthilfe", którego setki miljonów, prze-

znaczone na podtrzymanie kultury niemieckiej na wschodzie zostały literalnie rozdrapane przez utytułowane rody junkrów pruskich.

Gabinet „pomocy wschodniej" jest według „Vossische Zeitung" dowodem, że barometr polityczny wskazuje burzę. Wskazuje ją zarówno w polityce wewnętrznej niemieckiej, jak w zagranicznej.

Wprawdzie po objęciu władzy rząd, w którym zgromadziły się najbardziej wojownicze jednostki Niemiec współczesnych zapowiedział pokój i poszanowanie konstytucji, ale nikt w to nie wierzy, lecz wszyscy czekają tylko na zapowiedź, dokąd ten „skok w niewiadome" prowadzi.

***

Na półkach księgarskich w Paryżu ukazała się sensacyjna książka b. ministra Jugosławji, przywódcy Serbów chorwackich Pribiczewicza — obecnie emigranta politycznego. Książka ta ma wartość nieprzemijającą i ogólną, a nie tylko dla oświetlenia zagadnień Jugosławji.

Autor we wstępie pisze, iż długo bił się z myślami, czy wolno mu wobec wymagań patrjotyzmu, odsłonić przed obcymi, nieraz nawet wrogami, prawdę o swojej ojczyźnie i doszedł do odpowiedzi pozytywnej na to pytanie.

W książce „Dyktatura króla Aleksandra" cytowanej obecnie całemi stronicami w prasie włoskiej, angielskiej, a obficie i w prasie francuskiej p. Pribiczewicz doszedł do konkluzji takiej:

— Dyktatura zdołała skompromitować całkowicie ideję jugosłowiańską, o ile nie zabiła jej na zawsze..."

Właśnie dlatego, a więc w imię przyszłości Jugosławji, w imię dobra demokracji całego świata p. Pribiczewicz ogłasza swoje wspomnienia pełne momentów ciekawych, wstrząsających nieraz, a nieznanych.

Książka zawiera niezliczone „poprawki historji", którą fałszowano, jak pisze autor „dla dobra króla".

Przedewszystkiem więc zbija utartą i drażniącą Chorwatów i Słoweńców legendę, jakoby Serbowie narzucili im świadomość narodową i niepodległość. Jest to twierdzenie kłamliwe. Jak oświadczył Pribiczewicz królowi „nie należałoby go powtarzać przynajmniej wtedy, kiedy się mówi w cztery oczy".

Chorwacja i Slawonja wyzwolone przez rozkład monarchji Habsburgów miały przed sobą wolny wybór. Mogły równie dobrze stać się republiką niepodległą, jak sfederować się z Serbją.

Dokonano wyboru w drodze odruchu żywiołowego. Wybór ten autor uznaje obecnie za fatalną pomyłkę.

Opisuje tragiczną noc, kiedy umierał w szpitalu raniony zdradziecko w skupszczinie wódz Chorwatów Radicz.

W tę noc z 8 na 9 lipca 1928 r. król Aleksander całował się z umierającym, jak głosi oficjalna legenda, i uzyskał odeń jakgdyby placet na swoją dyktaturę. A obecny przy tej dramatycznej scenie Pribiczewicz oświadcza:

— Jako jedyny świadek tej wizyty królewskiej w szpitalu oświadczam, że cały ten epizod jest zmyślony."

W rozmowie toczonej tejże nocy z autorem wspomnień król odezwał się tak:

— Wolę zupełnie separację, niż federalizm. Nie mogę więcej współpracować z Chorwatami."

Ale w tę noc tragiczną jeszcze kości nie były rzucone. Jeszcze spotykali się król Aleksander z Pribiczewiczem i prowadzili ożywione gorączkowe dyskusje O jednej z nich, prowadzonej w nocy 22 lipca w willi Miłosza Sawczicza w Belgradzie, opowiada p. Pribiczewicz, co następuje:

— Mówiłem m. in. królowi, że w wojsku wszystkie stanowiska generałów i oficerów zajmują Serbowie. Chorwaci i Słowency są zupełnie pomijani."

— Nie będzie pan chyba żądał odemnie — odparł król — żebym byłych oficerów austrjackich brał do swojego wojska.

Pribiczewicz replikował: — A dlaczego nie, przecież to są obywatele państwa? Według zasady W. K. M. Polacy i Czesi nie mogliby mieć oficerów, bo większość ich szarż pochodziła z armji rosyjskiej i austrjackiej. A czyż sam Karageorgiewicz (protoplasta dynastji) nie był marszałkiem austrjackim."

Ta odpowiedź, jak pisze Pribiczewicz, doprowadziła króla do furji.

Pribiczewicz na wstępie swoich wspomnień taką czyni uwagę:

— Wielka publiczność międzynarodowa powinna z uwagą śledzić rozwój wydarzeń w tym kraju (Jugosławji), gdyż zależeć będzie od nich dla Europy południowo-wschodniej pokój, lub wojna".

Prasa włoska, cytując książkę zaznacza, że Pribiczewicz bynajmniej nie jest przyjacielem Italji, a nawet w czasie, gdy był w rządzie, był raczej nieprzyjaźnie dla sąsiada z drugiej strony Adrjatyku usposobiony.

Coprawda swoisty smak mają cytaty o szkodliwości dyktatury na łamach prasy faszystowskiej, ale pomimo to wypowiedziane przez Pribiczewicza myśli i podane do wiadomości fakty nie tracą znaczenia. Nie trzeba jednak stosować hotentockiej moralności, studjując je i podając do wiadomości publicznej, bo te metody, które niszczą państwo Jugosławji i jej narody są równie szkodliwe wszędzie, gdziekolwiek się je stosuje.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Halinie Jurszowej w Michałówce. Wysłaliśmy. Za miłe słowa dziękujemy serdecznie.

Panu Edwardowi T. w Przemyślu. Tak, tylko że sensacja sensacji — nierówna. Jeżeli chodzi o silne wzruszenia, nawet sfera inteligencji nie zdaje sobie naogół sprawy, ile najsilniejszych emocji niesie nam świat nauki.

Panu inż. K. Z. w Kaliszu. To właśnie mieliśmy na myśli. W „Epoce" można pisać sporo takich rzeczy, których żadne pismo nie zamieści ze względów partyjnych, politycznych, personalnych. Na szczęście nikt nas nie krępuje. Prócz, oczywiście, cenzury.

Pani Zofji L. w Krynicy. Widać, że bawi się Pani wyśmienicie. Ale z jakiej racji społeczeństwo ma się interesować Pani zabawą? Zaleca Pani „więc flirtów i romansów", „nawrót do dawnych dobrych czasów", „dużo tańca i jaknajwięcej chwil zapomnienia". Wesoły z Pani numer. Z „literackich" dowodów Pani „życzliwości dla ludzi" nie skorzystamy.

Panu Mieczysławowi N. w Poznaniu. Walka o nowy ustrój nie wymaga przecież zaniechania wszelkich dobrych uczynków w warunkach dzisiejszych. Kiedy przyjdzie do Pana człowiek głodny z prośbą o pomoc, nie powie mu Pan, żeby czekał... na nowy ustrój.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Andrzej Strug: Żółty krzyż. Tom 3-ci. Ostatni film Evy Evard. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1933.

B. Nikołajewskij: Azef. Przekład Leo Belmonta. Tow. Wydawnicze „Biblion". Warszawa 1933.

Jakób Apenszlak: Piętra. Powieść. Skład główny w „Domu Książki Polskiej". Warszawa 1933.

Henryk Gąsiorowski: Przewodnik po Beskidach wschodnich. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

E. Romer i T. Szumański. Polska mapa fizyczna. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa 1933.

Józef Siemieński: O przyszłą konstytucję. Odbitka z „Nowego państwa". Warszawa 1933.

EPOKA

niezależny posterunek myśli humanitarnej, placówka, broniąca praw człowieka i obywatela, trybuna myśli wolnej i bezpartyjnej, pismo, oświetlające najżywotniejsze sprawy naszych czasów, lektura poważna, przystępna i wszechstronna.

EPOKA

daje czytelnikom obfity materjał do rozważań, zdaje sprawę z obecnego stanu rzeczy we wszystkich dziedzinach twórczości i pracy, wskazuje drogi wiodące ku lepszej przyszłości.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.: *Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Zygmunt Kmita, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, dr. Jan Muszkowski, Maria Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, Zygmunt Rusinek, Gustaw Simon, Jerzy Stempowski, Andrzej Strug, Janina Strzelecka dr Mieczysław Szerer, Leon Wasilewki, Józef Wasowski, Alfred Wilecki, Roman Zrębowicz.*

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJĄ I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

R E D A K T O R przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 81 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.